

MAGDALENA SALIK
PŁOMIENI



powergraph

Warszawa 2021

Copyright © 2021 by Magdalena Salik
Copyright © 2021 by Powergraph
Copyright © 2021 for the cover by Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Jan Kosik
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wyłączy dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-66178-56-4

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

„Dare mighty things”.
Motto Laboratorium Napędu Odrzutowego NASA

— Proszę mi pozwolić skończyć, panie Michelson. Jestem współodpowiedzialna za to, co zdarzyło się w czasie lotu, na równi z profesorem. Jestem za to odpowiedzialna co najmniej tak samo jak on, jeśli nie bardziej. Proszę to zaprotokołować.

— Dziękuję za tak szczere postawienie sprawy. Jestem niezmiernie zadowolony, że zgodziła się pani z nami porozmawiać, ponieważ mam wrażenie, że wreszcie dowiemy się, co tak naprawdę się wtedy zdarzyło. Czy mogłaby nam pani wyjaśnić, na czym polega pani współodpowiedzialność?

1

www.eurekalert.org/pub_releases

Międzynarodowy zespół naukowców donosi o odkryciu globu typu ziemskiego

W gwiazdozbiorze Łabędzia zaobserwowano nową planetę wielkości Ziemi. Szczegóły zostały przedstawione w najnowszym numerze „Nature”.

Oznaczona numerem Kepler-973d planeta jest czwarta w układzie podwójnym Kepler-973. Została odkryta klasyczną metodą tranzytową.

Kepler-973d ma masę zbliżoną do Ziemi (1,006). Według wstępnych szacunków znajduje się w odległości 21 lat świetlnych od nas.

www.nasa.gov

Teleskopy NASA odkrywają parę wodną i czyste niebo na egzoplanecie

Naukowcy NASA ustalili, że w atmosferze skalistej planety w gwiazdozbiorze Łabędzia znajduje się para wodna.

Egzoplaneta Kepler-973d jest najbardziej z dotychczas poznanych planet podobna do Ziemi. Z najnowszych ustaleń wynika, że ma atmosferę składającą się z tlenu, azotu, dwutlenku węgla i pary wodnej. Czyste niebo pozwoli na jej dalsze dokładne obserwacje: określenie składu chemicznego oraz historii geologicznej.

Kepler-973d jest pokryta lodem, jednak – zdaniem astronomów – nie w całości.

www.esa.eu/pub-releases

Na Lodowej Ziemi zima trwa od 500 tys. lat

Najnowsze dane potwierdzają, że na egzoplanecie Kepler-973d od co najmniej pół miliona lat trwa epoka lodowcowa. Na planecie tej, odwrotnie niż np. na Wenus, nie występuje efekt cieplarniany.

— To, czy glob będzie z naszego punktu widzenia gorący czy zimny, zależy między innymi od obecności gazów cieplarnianych w jego atmosferze — tłumaczy astrofizyk dr Cuong Phan. — Nad Lodową Ziemią jest ich mniej niż nad naszą planetą. W rezultacie ponad 95 % globu pokrywa lodowiec.

Mimo to planeta Kepler-973d uważana jest za najlepszą kandydatkę na drugą Ziemię. Przypuszcza się, że wokół jej równika utrzymała się woda w stanie ciekłym. Istnieją również przesłanki, że ma pole magnetyczne chroniące przed promieniowaniem kosmicznym.

— Obiektywy wszystkich teleskopów, jakie w tej chwili pracują na Ziemi oraz w całym Układzie Słonecznym, skierowane są na Kepler-973d — mówi dr Phan. — Jest już pewne, że to pierwsza egzoplaneta typu ziemskiego, na której mogłoby się rozwinąć życie.

2

Kim jesteś, Keri? Gdzie teraz jesteś?

Pytania płyną razem z krwią, pompowane przez serce.

Skąd się tu wzięłam?

Po co tutaj jestem?

Pojawiają się rzeczy bez nazwy. Wydają się znajome, ale ponieważ nie umiem przyporządkować do nich określeń, wymykają mi się. Coś, co nie ma nazwy, jeszcze lub już, stanowi upiorny odbłask rzeczywistości, jej niepożrebna, ukryta na co dzień odsłone. Lękam się takich rzeczy, ale jeszcze bardziej boję wewnętrznego przyzwolenia na ich istnienie. Podszytej lękiem zgody na to, że bezimienne przedmioty mają prawo być, tak samo jak ja.

Rozglądam się w panice. Coś uderza, dudni, wali, obok mnie i we mnie. Szukam określeń, słów, formuł. Nazwać to tyle co oswoić, nadać imię wilkowi to pierwszy krok, by uczynić z niego psa.

Oklaski. Rozlegają się dookoła mnie. Znajduję się w ciemnym pomieszczeniu, przed sobą widzę ścianę rozjarzoną diodami. Dostrzegam głowy, ramiona, karki. Powietrze jest ciepłe, ma metaliczny zapach substytutu,

sztuczne poddmuchy napływające spod sufitu nieudolnie naśladowują wiatr. Gdzieś niedaleko, za ścianami, pod podłogą, znajdują się odpowiedzi, tłoczone przez te same pompy, które napełniają pomieszczenie precyzyjnie skomponowaną mieszanką tlenu i azotu. I spadają na mnie potokiem słów, kwaśnych, ostrych, tęczyowych, wyblakłych, jaskrawych, trzeszczących, czułych, niepojętych, gniewnych.

Trzęsę się. Nie rozumiem, co się dzieje, mam ochotę się rozplakać. Mężczyzna stojący obok mnie odwraca się. Widzę na jego twarzy niepokój.

— Wszystko w porządku, Keri?

Nie znam go. Znam go. Coś zostaje mi odebrane, coś tracę, słowa, zdania, całe opowieści umykają i giną jak sny, które po obudzeniu zostają z nami tylko przez kilka chwil. A potem zapominamy je z pełną świadomością dokonującego się na naszych oczach aktu utraty.

Kiwam głową. W porządku.

Wyraźnie czuję zapach swojego potu, ciężki od strachu. Czego się tak przestraszyłam, co się ze mną działo?

Nie znam tego miejsca. Znam je. Baza planetarna.

Nie tylko ja się pocę, wszyscy dookoła także. I każdy pachnie inaczej, a subtelne różnice w stężeniu mocznika i kwasu mlekowego przekształcają się w paletę woni, którą zaczynam rozpoznawać niczym słoń lub niedźwiedź, zwierzęta o najczulszym węchu. Nie otwierając oczu, mogę powiedzieć, ile dzieli mnie od pilota lądownika wydzielającego mocny zapach odwagi. Od operatora piaskowej koparki śmierzącego lenistwem. Od chemiczki emitującej lekki swąd nudy i od lekarki pachnącej poświęceniem.

Przede mną widzę ruch.

— To nie wszystko. Właśnie otrzymaliśmy...

Między głowami przesuwają się cień. Ktoś, od kogo od dawna czuć jedynie suche przygnębienie, znika nam z oczu.

— Dinu! Gdzie on poszedł?

— Maria, czy wyjaśnisz...

— Dlaczego nie wysyłają każdemu...

— To automatyczna wiadomość z komputera pokładowego — głos Marii, pierwszej oficerki, przebija się przez inne. — Ze statku, który powinien nas jutro minąć. Ma awarię systemu podtrzymywania życia. Wyhamuje przy nas, zadokuje do stacji orbitalnej...

Ramiona się unoszą. Głowy skręcają na prawo i lewo. Korpusy przestępują z nogi na nogę. Tak jakby wszyscy otrzymali nagle rozkaz tańca i podporządkowali mu się z rzadką jednomyślnością.

— Maria, czy to ten statek, przez który obcięto nam dostawy o połowę? — odzywa się ktoś bardzo głośno.

— Przez który od roku nie możemy się doprosić o nową koparkę?

— ... nie usunęły roboty. Dwie osoby polecą tam i rozwiążą problem manualnie...

— Mamy im pomagać? My – im?!

— A co z frachtowcem?

— Nikt nigdzie nie polecą! — przez gwar przebija się głos mechanika. — Mamy mieszanki tylko na jeden lot, dokładnie tyle, ile...

— Zaraz, a dlaczego nie można wybudzić tamtych? Co za problem ich wybudzić? Maria!

— Nie wiem! — Pierwsza oficerka ma blade policzki.

— Dostaliśmy polecenie od ich sztucznej inteligencji...

Okrzyki, pełne złości. Powietrze robi się naelektryzowane od przekleństw.

Słyszę przyspieszony oddech, swój własny.

— ... dokują za dwadzieścia dwie godziny. Będziemy mieć godzinę piętnaście na naprawę, jeden obrót, tak żeby siła odśrodkowa...

— Maria, pieprzyć to!

— Nie będziemy ryzykować!

— Gdzie jest Dinu? Dlaczego znowu wyszedł?

— Maria, policz sobie: nas jest tu sto dwadzieścia osób, a na „Płomieniu” tylko dwie!

3

Albert Townsend cesał się przed lustrem. Obok, na szafce, stała kamera wysokiej rozdzielczości. Czerwone światelko, wskazujące, że jest włączona, błyskało na samej granicy pola widzenia profesora.

— Czy jest jakiś powód, dla którego teraz nagrywamy?
— zapytał.

Stojąca obok asystentka zarumieniła się. Jak na dany znak, wszyscy czekający na niego – trzy kobiety i dwóch mężczyzn – zaczęli żartować.

— Al, postanowiliśmy zarejestrować, jak się upiększasz w tym historycznym momencie.

— Przyda się do przyszłych filmów dokumentalnych o tobie.

— Życie i twórczość, odcinek: przygotowania do finału.

— Na zapleczu, z dala od ciekawskich dziennikarzy i zawistnych kolegów, z grzebieniem w ręku, szef najważniejszej misji w dziejach ludzkości pozostawał jak zawsze skromny i naturalny...

Townsend lekko się uśmiechnął. Napięcie daje się jego współpracownikom we znaki. Zazwyczaj bywali dowcipniejsi.

Przypiął mikrofon do koszuli.

— Możemy nagrać coś dodatkowego później. Dla potomności.

— Oczywiście — potwierdziła Nisreen, szefowa jego sekretariatu.

Albert zdjął marynarkę od jasnoszarego garnituru, powiesił ją na oparciu krzesła. Podwinął rękawy i popatrzył w lustro.

W samej tylko koszuli, lekko wygniecionej, wyglądał tak, jak chciał wyglądać – jakby wyszedł na przerwę z sali wykładowej albo z laboratorium.

— Miał wady, jak każdy człowiek. Tylko jego najbliżsi współpracownicy wiedzieli, że lubi dobrze wypaść i że pozwala sobie niekiedy na drobne, nikomu nieszkodzące manipulacje...

Townsend zerknął spod oka na mówiącego. Wszyscy się roześmieli.

— Powodzenia!

— Trzymamy kciuki!

Gdy wyszli na korytarz, siedł pierwszy. Błękitna koszula, zgrabna sylwetka, na której dobrze leżały ubrania. Osoby kręcące się przed wejściem do sali konferencyjnej zaglądały mu w oczy.

Gleb, jeden z asystentów, wyprzedził go i usłużnie otworzył drzwi. Albert podziękował spojrzaniem.

Sala, do której weszli, miała wielkość parlamentarnej auli. Gdyby nie to, że zaciemniono okna, roztaczałby się z niej widok na zalane słońcem kalifornijskie pasmo Santa Cruz. Pięćset miejsc, zajętych teraz do ostatniego krzesła. Przypominała kino – zebrani siedzieli przed wiel-

kim ekranem, pod którym znajdowała się scena. W tej chwili stał na niej drugi asystent Townsenda.

— A oto i on — powiedział.

Al odwrócił się do widowni. Najpierw trzy sekundy dla publiczności. Niech mu się przyjrzą, oswoją z jego widokiem.

Światło bijące ze sceny docierało jedynie do pierwszych rzędów. Następne ginęły w półmroku. Z coraz głębszych ciemności wyłaniały się tylko niewyraźne twarze. Rozglądać się, wypatrywać znajomych, byłoby oznaką stresu, a przynajmniej braku pewności siebie, profesor patrzył więc na wprost. Skonstatował oczywistość: gdy ma się przed sobą pięćset osób, w oczy rzucają się nie różnice w wyglądzie, lecz łączące wszystkich podobieństwo. Uzupełniony o kilka zmiennych ten sam genetyczny wzór.

Albert Townsend, astrofizyk i inżynier technologii kosmicznych, był wysokim, lekko rudziejącym blondynem o pociągłej twarzy, ostrym podbródku i wysokim czole. Szczupły, wysportowany, poruszał się sprężycie i lekko; sprawiał wrażenie, że zawsze jest gotowy odwrócić się, przyjąć inną pozycję, zmienić położenie w przestrzeni. Jasne oczy miały przyjazny wyraz, ale jego spojrzenie trudno było uchwycić – patrzył na człowieka krótko, a potem uciekał wzrokiem, jakby chciał jak najszybciej wrócić do swoich myśli.

Obecni w auli zaczęli robić mu zdjęcia. Mniej więcej jedna trzecia czuła się wyróżniona – znali go osobiście.

Townsend przesunął wzrokiem po sali. Gotowi? Gestem uruchomił komputer.

Na ekranie za jego plecami wyświetlił się film złożony ze zdjęć zrobionych przez teleskopy orbitalne. Przedstawiał rozżarzony, pulsujący w ciemnościach

punkt. Ze skazą, kilkoma zaczernionymi pikselami, powiększonymi w oddzielnym oknie.

Tranzyt planety na tle gwiazdy.

— Co czujecie, gdy patrzycie na tę fotografię? — zapytał Townsend, a system nagłośnienia rozniósł jego słowa po sali. — Jakie emocje budzi w was ten widok? — Kliknięcie i zebrany ukazała się artystyczna wizja pokrytego lodem globu. — Jesteście podnieceni? Oszupiali z fascynacji? Czy raczej przestraszeni? A może myślicie, że uczucia nie mają znaczenia? No cóż, Paul Clancy — *klik*, zdjęcie starszego mężczyzny o bystrym spojrzeniu — jeden z moich znakomitych poprzedników, wsławił się powiedzeniem, że pragnienie eksploracji nie jest intelektualne, lecz impulsywne.

Profesor mówił z niskim, starannie modulowanym głosem.

— Ten widok — wrócił do lodowego globu — budzi w nas impuls. Ja osobiście, gdy na to patrzę, czuję fascynację połączoną z niepokojem. Zaczynam zadawać sobie pytania: czy sobie poradzę? Czy to dla mnie nie za dużo? Czy ludzkość na to stać? — Po sali przeszedł szmer. — No właśnie, wszyscy słyszeliśmy już ten zarzut. „Lepiej byłoby, żebyście wydali te pieniądze na poszukiwanie lekarstwa na raka. Na powstrzymanie kolejnych pandemii. Na pokrycie Sahary panelami słonecznymi, na podniesienie o kolejny metr europejskiej tamy”.

Umilkł. Przeszedł parę kroków w prawo, tak, by stanąć obok ekranu. Nie chciał go zasłaniać, lecz sprawiać wrażenie, że jest tylko dodatkiem do treści zawartej w obrazach.

— Podsuwający nam tego rodzaju pomysły mają sporo racji. Każdy z tych celów, w ujęciu krótkoterminowym, jest ważniejszy od naszego. A więc powstaje pytanie

– dlaczego wybieramy eksplorację? Co się kryje za kierującym nami impulsem? Nie ścigamy się już z obcym mocarstwem za żelazną kurtyną — kliknięcie, zdjęcie z misji Apollo — nie pragniemy się wzbogacić, handlując goździkami czy gałką muszkatołową — rycina z Vasco da Gama — nie zamierzamy rozślawić na świecie imienia swojego władcy — Zhang He, wracający z pionierskiej wyprawy do Afryki. — A może chcemy zyskać sławę pierwszego zdobywcy odległego punktu na mapie, jak Roald Amundsen? — Ubrany w grube futro mężczyzna z zaprzęgiem psów. — Nawet jeśli się nam to uda, nie dowie się o tym nikt na tej sali... Chyba że ktoś tu jest w ciąży.

Przez salę przebiegł śmiech, krótki, aprobujący. Townsend wyświetlił kolejny obraz – białą, pustą przestrzeń.

— Wyobraźmy sobie, że przenosimy się w czasie, pięćdziesiąt tysięcy lat wstecz. Pierwsza grupa ludzi sforsowała właśnie Cieśninę Beringa. Choć tego nie wiedzą, otwiera się przed nimi połowa globu, obie Ameryki. Niewiarygodnie wielki obszar lądu, nie do skolonizowania nie tylko dla jednego, ale i dziesięciu pokoleń. Kto pierwszy postawił stopę na dzisiejszej Alasce? Nigdy się tego nie dowiemy. Ale możemy sobie wyobrazić, co kierowało tym człowiekiem, gdy prowadził swoich pobratymców w nieznaną.

Zaczął iść wzdłuż ekranu. Każdy krok odmierzał rytm słów.

— Ciekawość. Zmysł przygody. Chęć zapewnienia swojej grupie lepszego życia. Lojalność. Dzielność. — Zatrzymał się na środku sceny. — Odwaga.

Popatrzył po sali.

— By poczuć impuls, o którym mówił Clancy, potrzebna jest odwaga — podjął, zwracając się wprost do widzów. — Ten rodzaj zuchwałej dzielności, który jest przeciwieństwem wykalkulowanego rozsądku. Rozpoczynając to, z czym dziś startujemy, i czego efekty będą znane dopiero za wiele pokoleń, powinniśmy pamiętać o pierwszym człowieku, który wiódł swoich ludzi przez pokrytą lodem Cieśninę Beringa. Nie był rozsądny, ale wykazał się odwagą. Nie bał się, a jeśli nawet się bał – zdołał pokonać strach. Mógł nie ryzykować, ale stawiał czoło niebezpieczeństwu. Mógł zostać w miejscu, ale ruszył naprzód.

Pauza, już ostatnia.

— Odwaga. To jest właśnie cecha, która uczyniła nas tym, kim jesteśmy. Wykorzystajmy ją. „Płomień” jest po to, żebyśmy wszyscy mogli znów poczuć odwagę. Żeby każdy z nas mógł powiedzieć sobie i wszystkim dookoła: jestem człowiekiem, nie boję się.

Oklaski.

Townsend zaczekał, aż ucichną. Rozejrzał się – otaczała go chmura twarzy. Na tle ciemnej podłogi i strojów odcinały się dłonie, niezasłonięte масeczkami policzki i czoła. Kobiety, mężczyźni, od dwudziesto- do siedemdziesięciolatków, przedstawiciele wielu ras ze wszystkich kontynentów.

W idealnym świecie, pomyślał, mógłby zwrócić się do każdego indywidualnie. Każdego przekonać osobiście.

Profesor lubił rozmawiać – traktował konwersację jako podstawowe narzędzie pracy. Przywiązywał wielką wagę do kontaktów personalnych, w pełni świadomy, że zyskuje przy bliższym poznaniu. Mimo specjalistycznego wykształcenia umiał wypowiadać się na dużym poziomie ogólności. Potrafił też szybko sprowadzić dyskusję do sedna i umiejętnie skracał dystans ani nie strasząc

technicznymi szczegółami, ani nie popadając w toporną familiarność.

Gdy znów się odezwał, użył innego języka, konkretnego i rzeczowego. Celem tego spotkania, usłyszeli zebrani, jest zapoznanie się ze strukturą organizacyjną finalnej części prac projektowych oraz przedstawienie – na żywo – szefów poszczególnych zespołów. Później, podczas testów statku, każdy zespół będzie na bieżąco komunikował się z pozostałymi, on zaś osobiście postara się zapewnić przepływ kluczowych informacji.

To po pierwsze, po drugie zaś: poziom skomplikowania misji, nad którą właśnie kończą prace, jest na tyle wysoki, że wymaga ciągłego zarządzania ryzykiem, czyli opracowania przybliżonych szacunków pojawiania się błędów. W jego ocenie jest to najważniejszy element projektu, dlatego chciałby zacząć od przedstawienia wszystkim Liu Wang, profesora robotyki ewolucyjnej z MIT, który oprócz tego, że odpowiada za wyposażenie jednostki, zgodził się stanąć na czele zespołu przygotowującego zmieniający się w czasie model prawdopodobieństwa wystąpienia usterek.

Na scenie pojawił się Wang – komputer wyłowił go z tłumu, a wszyscy zobaczyli na ekranie.

Townsend odszedł na bok. Upił łyk wody, którą podał mu Gleb. Ledwie Liu skończył, Al przedstawił szefa kolejnej grupy badawczej. Projektanci napędów, inżynierowie, astrofizycy, specjaliści do spraw zarządzania energią, geolodzy i terraformiści, programiści, trenerzy sztucznej inteligencji, projektanci systemu zarządzania misją, projektanci kapsuł życia, zespół medyczno-anestezjologiczny, psychologiczny, grupa koordynująca wymianę informacji i politykę informacyjną, wreszcie, na koniec,

jego drużyna – specjaliści implementacji i – Townsend zawiesił głos – strażnicy deadline’ów.

Po sali przebiegł cichy śmiech. Minęła już godzina spotkania, wszyscy zaczęli się rozglądać. Albert to wychwycił.

— Czas na podsumowanie. — Poprawił rękawy.

Spostrzegł, że ledwie się odezwał, tłum naukowców umilkł. Czyli, pomyślał, cel został osiągnięty. Miał świadomość, że wbrew temu, co powiedział, powodem ściągnięcia tutaj tych wszystkich ludzi, prawdziwym powodem zmuszenia ich do uaktualnienia biopaszportów, nie było jedynie zjednoczenie ich wokół celu misji. Nie tylko danie im poczucia, że działają w grupie, nie tylko zaznajomienie ze sobą nawzajem, ale przede wszystkim – z nim, jego stylem zarządzania i komunikacji. Czuł, że wobec złożoności projektu wyjątkowe znaczenie będzie miał czynnik ludzki.

A precyzyjniej – to on, jego osoba będzie miała wyjątkowe znaczenie.

Townsend patrzył uważnie na wielooką, wielogłową salę. Miał nadzieję, że mu ufają, tak samo mocno, jak on ufał sobie.

Zerknął na zegar – z półtorej godziny, którą przeznaczył na spotkanie, minęła już godzina dwadzieścia. Zostało dziesięć minut na pytania.

Zapaliło się światełko, jaskrawe i wyraźne. Komputer wyłowił z tłumu pytającego.

— Doktor Evelyn Brin, psycholożka moralności z nowojorskiej Leonard Stern School of Business — przedstawiła się trzydziestoparolatka z tylnych rzędów. — Chciałabym zaproponować dodanie do pańskiej struktury zespołu etyków, którzy zajmowaliby się na bieżąco intuicjami moralnymi pojawiającymi się w toku prac nad „Płomieniem”. W mojej ocenie prace takiego zespołu

nie tylko pomogą uporządkować hierarchię wartości nas wszystkich, lecz także staną się bezcennym źródłem historycznym dla... — doktor Brin zacięła się na ułamek sekundy — ... dla przyszlých pokoleń.

Oczy, zęby, dłonie, na nie w pierwszej kolejności zwraca uwagę ludzki mózg. Na ekranie, który Townsend miał przed sobą, widać było ciemne źrenice, wąskie usta, lekko zaczerwienione dłonie.

Nie wolno poddać tego pod dyskusję, pomyślał.

— Proponuję, by taki zespół składał się z ochotników — powiedział spokojnie, gdy Brin skończyła. — I pracował w wybranym przez siebie czasie, poza ustaloną odgórnie agendą. Chętni, którzy chcieliby się w nim znaleźć, niech zgłoszą się do Nisreen Haidemi. — Wskazał swoją asystentkę — A teraz... jeszcze jedna rzecz.

Znów śmiech uznania, odprężenia.

Townsend zerknął na podręczny wyświetlacz, powoli przesunął wzrokiem po sali.

— Chciałbym coś państwu na koniec przeczytać. Nie muszę przypominać, kim był kapitan James Cook i jakie znaczenie miały jego dokonania dla osiemnastowiecznego świata. Zacytuję fragment epitafium, jakie po śmierci kapitana wygłosił David Samwell, lekarz jego ekspedycji. — Zrobił pauzę, by upewnić się, że audytorium go słucha. — „Angażując w służbie przedsięwzięcia cały swój geniusz, dążył do celu z niezachwianą wytrwałością, z trzeźwym osądem, głębokim wyczuciem i absolutnym zdecydowaniem...”.

4

... z trzeźwym osądem, głębokim wyczuciem i absolutnym zdecydowaniem, w najwyższym stopniu czujny i aktywny, najpierw zobaczyłem Jake'a. Siedział skulony na ziemi, przyciskając ramię do przepony. Krzywił się z bólu, niezadowolony, że to widać. Popatrzyłem na niego i od razu zrozumiałem, że ten wysoki chłopak jest moim towarzyszem i że ma na imię Jake.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie – zdawało mi się, że widzę go po raz pierwszy, choć przecież znaliśmy się od wieków. Miał szeroką twarz o wyzywającym spojrzeniu i posępnych, krzaczastych brwiach. Kwadratowa szczęka zdradzała zamiłowanie do rozwiązań siłowych, zapadnięte policzki zaś – hart ducha. Nosił znoszony mundur khaki, zabłocony, z wystrzępionymi mankietami, podarty w kilku miejscach. Do piersi tulił naszą największą pociechę na tym złym świecie: karabin szturmowy.

Widząc, że mu się przyglądam, posłał mi ciężkie spojrzenie. Chcesz w dziób? – przeczytałem w jego wzroku. W życiu, odpowiedziałem w myślach. Nie wiadomo, dla-

czego byłem pewien, że pogróżka malująca się na twarzy Jake'a to jego zwyczajna, zupełnie niegroźna mina.

Zsunąłem ze spoconego czoła hełm i rozejrzałem się, nieco zdezorientowany. Krajobraz był nowy i zarazem znany. Niewysokie wzgórza, płaskie jak piersiówka, ciągnęły się aż po horyzont. Jak okiem sięgnąć pokrywały je wysuszone badyle. W niemrawych podmuchach wiatru ten ocean chaszczy trzeszczał jak stara łajba, wypędzona na morze o jeden raz za dużo. Nad nim wisiała szmata chmur, ciężkie kłęby nasiąknięte deszczem.

Przyznaję, gdybym był skłonnym do uniesień poetą, okolica zrobiłaby na mnie ponure wrażenie. Ja jednak mam naturę praktyczną, więc tylko rozglądałem się czujnie. Coś się nie zgadzało, choć przecież zgadzało się wszystko. Łopiany, trawy sięgające do pasa, karłowate jarzębiny z czerwonymi kiściami, teren oferujący mało dobrych kryjówek i niewiele naturalnego jedzenia. Znałem to wszystko, naprawdę dobrze znałem.

Wynfred, zwróciłem się sam do siebie, co ci się roi w głowie? Skupiłem się, wyteżyłem pamięć. Przecież byłeś tu wczoraj i przedwczoraj, na tych płaskich pagórkach zarośniętych szarłatem. Przedwczoraj dostrzegłeś w oddali miasto, wczoraj Jake dostał, ale niegroźnie. Pamiętasz? Jasne, odpowiedziałem sam sobie i dziwaczne wrażenie obcości, najprawdopodobniej efekt odwodnienia, raz na zawsze zniknęło.

Przypomniałem sobie, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Za moimi plecami rozpościerała się dolina, w której z godnością spoczywał trup rozległej metropolii. Na jego skraju znajdował się ogromny budynek o znajomym kształcie. Supermarket z oddali wydawał się nienaruszony.

— Musimy iść — kontynuowałem — musimy dotrzeć tam przed zmrokiem.

Jake się nie odezwał.

— Musimy tam iść — powtórzyłem.

— Nie musimy.

— Coś tam się znajdzie, zobaczysz.

— Nic się nie znajdzie.

Jego optymizm bywał irytujący.

— Tutaj nic nie trafimy, tam natomiast...

— W mieście nas załatwią.

Westchnąłem.

— No cóż — powiedziałem powoli — jeśli chcesz spędzić kolejną noc pod tym pięknym niebem...

— Na razie jakoś idzie.

— Szło, do wczoraj. Od wczoraj nie idzie. Rusz się.

— Sam się rusz.

Od dawna tak właśnie wyglądały nasze rozmowy.

Umilkłem, obserwowałem okolicę. Znajdowaliśmy się w połowie rozległego pagórka, w kiepskim, odsłoniętym terenie.

— Damy radę tutaj — powiedział Jake z naciskiem.

— Nie damy — wpadłem w jego ton. — Zresztą nie wierzę, że tego nie czujesz. Jeśli jesteś żywy i widzisz przed sobą supermarket, musisz to czuć.

— Co?

Zerknąłem na niego jak kłusownik rozstawiający wnyki.

— Impuls. Pragnienie poznania. Instynktowną chęć zbadania nieznanego. Jeśli widzisz miasto, musisz chcieć tam...

Nagle usłyszałem coś za plecami.

Upadłem na ziemię, na brzuch. Odwróciłem się. Złapałem broń i przysunąłem do oka wizjer lunety. Trawy w oddali poruszały się miarowo, widziałem je na prze-

cięciu linii celowniczych. Zarośla, niskie krzewy, szczyt wzgórza. I jeszcze...

Uspokoilem oddech, liczyłem uderzenia serca. Potem dwa razy pociągnąłem za spust.

Jake opadł na brzuch i przycołgał się do mnie. Ledwie znalazł się obok, złożył się do strzału.

— Trafiłem! — syknąłem, nagle zły jak osa.

— Gównu trafiłeś, Wynfred!

Poprawił, a ja liczyłem, jeden po drugim, wystrzelowane naboje.